Kraków, 4-go maja 1913 r.

Rok 9. Nr. 9.

Dzwonek.

Gazetka dla dzieci.

Dodatek do „Prawdy“ nr. 18.

Do dzieci.

Codzień powtarzacie w pacierzu, w „Ojcze nasz“ te słowa: „Ale nas zbaw ode złego“. — Co to jest złe? Różne rzeczy ludzie nazywają złemi; mówią, że choroba, ubóstwo, pożar, grad, to złe, bo nam to niemiłe i przynosi szkodę, I od tego złego prośmy, aby nas Bóg zachował. Ale jest jedno zło najgorsze, największe, którego najwięcej lękać się wam trzeba, dzieci kochane, bo ono może was uczynić nieszczęśliwymi nietylko tu na ziemi, ale po śmierci, na zawsze. Wiecie co jest tem złem? Grzech ciężki czyli śmiertelny. Jeśli dziecko wiesz dobrze, że to co czynisz, mówisz, albo myślisz, jest złe, że Pan Bóg to zakazał, a mimo, że wiesz, to złe czynisz — i jeśli to jest rzecz ważna, wtedy popełniasz grzech ciężki. Jeśli nie posłuchasz matki lub kogo innego ze starszych na pierwsze słowo, zaraz, ale dopiero po chwili, gdy matka drugi i trzeci raz powtórzy — nie było to takie posłuszeństwo, jakiego Pan Bóg chce, i tem chwilowem nieposłuszeństwem obraziłeś Pana Boga, — ale był to grzech lekki, czyli powszedni. Jeśli jednak jesteś tak uparty, że choć matka powtarza rozkaz dziesięć razy i gniewa się, a i uderzy, aby cię do posłuszeństwa nakłonić, a ty nie słuchasz i jeszcze niegrzecznie i z zuchwalstwem odpowiadasz, wtedy grzech jest wielki, ciężki, śmiertelny. — Jeśli skłamiesz z figlów, albo i nie z figlów, ale nikomu twoje kłamstwo nie zaszkodziło — wtedy to kłamstwo jest grzechem, bo Bóg kłamstwem się brzydzi, — ale był to grzech powszedni. Jeśli kłamstwem

przyniesiesz szkodę drugiemu, wtedy może już być grzech ciężki. Jeśli ci przyjdzie do głowy brzydka, nieskromna myśl, i zastanawiasz się nad nią — ale nie spostrzegłeś się jeszcze, że taką myślą się zajmujesz, — nie masz jeszcze grzechu wcale. Gdy już spostrzegłeś, że to myśl brzydka, ale nie od razu przestałeś się nią zajmować, — wahasz się — chcesz ją zatrzymać i boisz się, bo wiesz, że Bóg się nią brzydzi, — wtedy już grzeszysz, ale to grzech jeszcze powszedni. Gdy jednak zastanawiasz się nad tą brzydką myślą całkiem dobrowolnie, chociaż wiesz i pamiętasz o tem, że Bóg się nią brzydzi, wtedy, choćby to trwało chwilkę, popełniłeś grzech ciężki. I tak jest we wszystkiem, co złe, grzeszne: jeśli to złe niewielkie, albo nie całkiem dobrowolnie je popełniasz, jest grzechem powszednim; jeśli złe jest wielkie, a popełniasz je całkiem dobrowolnie i wiesz, że to, co czynisz, jest złe — wtedy ciężko Boga obrażasz — popełniasz grzech ciężki. Grzech ciężki — to już nie plama na duszy, ale on duszę całą czyni szkaradną, Bóg się tą duszą brzydzi; mieszkać w niej nie może. Więc opuszcza ją Duch Św., dusza traci całkiem łaskę poświęcającą, przestaje żyć dla Boga, a gdyby człowiek umarł z grzechem ciężkim na duszy, choćby z jednym tylko — musi iść do piekła i nic go już stamtąd nie wybawi, bo z piekła wyjść nie można. Więc strzeżcie się dzieci bardzo tego największego złego, jakiem jest grzech ciężki i proście Boga codzień: ale nas zbaw ode złego. I Matki Najświętszej proście codzień gorąco rano i wieczór: „Matko Najświętsza, zachowaj mnie dziś i zawsze od grzechu ciężkiego!"

TO 'DZIE WIOSNA.

I

Czy słyszycie? Czy słyszycie?
Dziwną pieśnią szumią drzewa,
Ciepły, wonny wiatr powiewa,
Drży wokoło nowe życie...
Czy słyszycie?

Czy widzicie? Czy widzicie?
Jakieś inne dzisiaj słońce...
Rozognione, pałające
Posuwa się po błękicie...
Czy widzicie?

Czy czujecie? Czy czujecie?
W sercu piosnka drży radosna
Wiosna idzie! Wiosna! Wiosna!
Radość, szczęście w całym świecie...
Czy czujecie?
Idzie Wiosna...

II

A kędy stąpi nóżką białą
Topnieje śnieg wokoło,
Już go niewiele pozostało
Hej, jakże dziś wesoło!

A kędy stąpi białe kwiaty,
Podnoszą z ziemi czoło,
Wszystko przywdziewa nowe szaty,
Hej, jakże dziś wesoło!

Już się weseli każda trawa,
Cieszy się każde zioło,
Wkrąg radość, słońce i zabawa,
Hej, jakże dziś wesoło!

Chodźmy! Bo chcą nas jasne łąki,
Chce nas znajome zioło
Widzieć po tylu dniach rozłąki...
Hej, jakże dziś wesoło!

To idzie Wiosna!...



Co zając opowiadał Tomkowi.

(Ciąg dalszy.)

— Czy potrafią tak prędko biegać, jak ty?

— Potrafią, a nawet prędzej ode mnie — przyznał zając — ale, mimo to, niezawsze mogą mnie schwycić. Kiedy chart mnie dogania, zatrzymuję się nagle i przysiadam na ziemi. Rozpędzony chart nie może zatrzymać się w biegu. Przeskakuje przeze mnie i pędzi parę minut przed siebie, zanim zdoła zawrócić, a ja zawracam zaraz, gdy przeze mnie chart przeskoczy, i umykam jak mogę najprędzej w przeciwną stronę, więc kiedy chart zawraca, jest już daleko ode mnie. Jeżeli mnie znowu dogania, wtedy radzę sobie inaczej. Wywijam koziołka i daję susa w bok, a chart mnie mija w rozpędzie...

— Więc chart nigdy nie może cię schwycić? — pyta dalej Tomek.

— Dotąd mnie jeszcze nie schwycił — odrzekł zając. — Ale mam jeszcze inne sposoby obrony przed psami. Czasami umykam przez dziurę w płocie. Psy są za duże, żeby mogły przesunąć się przez nią i muszą przeskakiwać przez płot. Kiedy są już po drugiej stronie i doganiają mnie, zatrzymuję się nagle tak, jak ci już mówiłem, zawracam i przemykam się znowu przez dziurę, a one znowu muszą skakać przez płot, i powtarzam to póty, aż się pomęczą, bo przecież więcej męczy skakanie przez płot niż przemykanie się pod nim, a kiedy są już tak zmęczone, że nie mogą skakać, przesuwam się przez dziurę i zmykam w pole.

— Doskonale! — zawołał Tomek.

Zając był bardzo zadowolony z pochwały i rzekł:

— Ponieważ widzę, że z ciebie chłopczyk rozsądny, powiem ci coś więcej... Wyobraź sobie, że jesteś ścigany w polu przez całą zgraję psów i w ucieczce wpadasz na stado owiec. Cobyś zrobił w takim razie?

Tomek pomyślał przez chwilę, a potem powiedział:

— Zawołałbym owczarza i prosiłbym o ratunek.

— Tak, i ciebie pewnieby owczarz uratował — odrzekł zając — bo przypomniałby sobie te czasy, kiedy sam był

małym chłopcem, i miałby dla ciebie współczucie, ale nie miałby współczucia dla mnie, bo ja jestem tylko zając, a owczarz nigdy nie był zającem. Więc rzuciłby we mnie kijem, tak jak ty, i pomagałby psom do schwytania mnie. Nie! nie owczarza proszę o ratunek, ale owce — to takie łagodne stworzenia. Kiedy wpadnę w sam środek stada i owce mnie otoczą, psy nie mogą mnie znaleźć.

— Czy psy nie wpadną za tobą między owce? pytał Tomek.

— Nie! bo owce ścisną się w taką zwartą gromadę, że psy ścigają tylko naokoło, ale nie mogą dostać się do środka. A ja siedzę we środku i gdziekolwiek posuną się owce, posuwam się z niemi i przemykam się pod ich nogami. Zresztą psy nie mogą mnie dojrzeć w pośrodku owiec.

— A nie czują już wtedy twojego tropu?

— Nie! bo zapach owiec jest silniejszy od mojego, a że owce stąpają po moich śladach, więc to zbija psy z tropu. Widzisz stąd, że, gdy schronię się między owce, jestem uratowany, bo psy nie mogą mnie ani ścigać, ani dojrzeć, ani zwęszyć wśród stada.

— I robiłeś to już kiedy? — zagadnął Tomek.

— I nieraz nawet! A czasem używam jeszcze innego sposobu. Kiedy mnie psy ścigają, biegnę tam, gdzie wiem, że inny zając siedzi, wypędzam go z kotliny, i psy zaczynają ścigać jego, zamiast mnie. Ja tymczasem zasiadam w jego legowisku i odpoczywam, a psy przebiegają obok, nie widząc mnie wcale.

— Może to jest bardzo mądre — zrobił uwagę Tomek — ale, zdaje mi się, że niebardzo przyjemne dla tego drugiego zająca.

Zając zadziwił się, usłyszawszy te słowa, jak gdyby mu to nigdy na myśl nie przyszło.

— Jeden zając powinien pomagać drugiemu — odrzekł po chwili — a zresztą, mam nadzieję, że psy go nie schwycą, bo nie jest zmęczony. Może on znowu z kolei spotka innego zająca i wypędzi go tak samo z jego legowiska...

Tomek chciał coś powiedzieć i już zaczął:

— Ale...

Lecz zając nie dał mu skończyć, tylko przerwał trochę niecierpliwie:

— Mniejsza zresztą o to! Powiem ci jeszcze, że, chociaż nie jestem zwierzęciem dużem ani zuchwałem, mogę czasem zemścić się na tych, którzy mnie prześladują, choć są ode mnie silniejsi i odważniejsi.

— Ach! opowiedz mi! — prosił Tomek, widząc, że zając przerwał i zamyślił się.

— Jak ja to dobrze pamiętam! — zaczął zając po chwili namysłu. — Charty pędziły wtedy tak szybko i były już bardzo blizko... Dokąd uciekać? Pobiegłem na strome wzgórze, żeby je zmęczyć, no, i zmęczyły się, ale ja zmęczyłem się jeszcze więcej. Potem biegłem wzdłuż płotu w jedną i w drugą stronę, przemknąłem się pod nim tak, że mnie nie dojrzały, i rzuciłem się w gęste i kolczaste krzaki pod płotem, gdzie psy niełatwo mogły się wedrzeć. Ale były tak blizko, że mi już następowały na pięty. Przycupnąłem na ziemi — one w pędzie przeskoczyły przeze mnie. Widziałem ich białe, ostre zęby i roziskrzone oczy, i czerwone języki, zwieszające się z wielkiej paszczy... Minęły mnie — na chwilę byłem bezpieczny. Ale dokąd teraz uciekać? Przede mną nie było żadnego płotu, ani lasu, ani krzaków, ani pagórków, ani kamieni — nic, tylko równe, trawą zarosłe pole, po którem chartom najdogodniej jest biegać. Czy już niema dla mnie ratunku? myślałem. Na szczęście tam, daleko przede mną, widać było koniec pola i dolatywał stamtąd jakiś szum i pluskanie... To rzeka... Ach! gdybym zdołał tam dobiedz! Biegnąc, przycupnąłem raz — drugi — trzeci, psy przeleciały nade mną, a ja pędziłem dalej... Szum słychać było coraz bliżej. Ale charty były już za mną, czułem ich gorący oddech na swojem futerku... Już — już — dopędzały mnie... Na samej krawędzi wysokiego brzegu przycupnąłem — i jeszcze raz psy mnie wyminęły! (Dokończenie nastąpi).

Z dziejów kartofla.

Kartofel jest rośliną pochodzącą z Ameryki, z kraju zwanego Peru, skąd kartofle nazywają także perkami.

Pewien angielski marynarz, bawiąc w Ameryce, przesłał do Europy pierwsze ziemniaki swemu przyjacielowi. Ten, zasadziwszy je w ogrodzie, czekał, dopóki zupełnie nie dojrzały, zebrał potem z łodyg owe kulki zielone i zaprosiwszy gości, chciał ich poczęstować nową jarzyną. Kazał ją w maśle usmażyć, posypał dobrze cynamonem i cukrem i podał gościom. Wszyscy, ciekawi bardzo nieznanej, a bardzo zachwalonej potrawy, kosztują, lecz natychmiast sam gospodarz odkłada widelec, mówiąc:

— Ten owoc, w Ameryce tak smaczny, widocznie u nas nie dojrzewa i jedzony być nie może.

Wkrótce potem gospodarz, przechadzając się w ogrodzie obok ogniska, na którem ogrodnik palił wyrwane chwasty, przypadkiem nadeptał na coś miękkiego, podniósł i ogląda...

Jakiś okrągły owoc, gorący jeszcze, a pachnie bardzo przyjemnie. Przywołuje więc ogrodnika i pyta:

— Co to za owoc?

— To są bulwy, które znalazłem przy korzeniach amerykańskiej rośliny.

Teraz dopiero domyślił się Anglik, że to właśnie te bulwy stanowią pokarm amerykański. Po raz drugi zaprosił gości i podał im potrawę, która teraz smakowała wszystkim.

Co ja mam?

Mam ócz dwoje jasnych, czystych,
Jak dwie gwiazdki przezroczystych,
Widzę kwiatki, drzewa, krzaki,
Błękit nieba, twór wszelaki.
Uszu dwoje mam u głowy,
Abym słyszał ludzkie mowy,
Czy to, gdy nas mama woła,
I obsiądziem ją dokoła,

Czy gdy ojciec rzecze do mnie:
— Ucz się pilnie, baw się skromnie.
Serce jedno w piersiach czuję,
Małe, przecież się raduje.
Kocha wioskę naszą całą,
Kocha braci, siostrę małą,
Kocha ojca, matkę miłą, —
Bo i czegóżby tak biło?

Co dawniej zastępowało papier.

Dziś, gdy wszyscy na papierze piszemy i ten papier jest tani, mało komu przyjdzie na myśl, ile to czasu trzeba było i ile doświadczenia, zanim ludzie doszli do tego wynalazku i tak go rozpowszechnili.

Z początku n. p. pisano na kościach zwierząt, na cegłach, lub na tabliczkach kamiennych; później zaczęto używać tabliczek z ołowiu i miedzi, nareszcie kory z drzew, lub wielkich liści, które w gorących krajach rosną. W bogatych księgozbiorach i muzeach można dotąd widzieć dawne dzieła tak pisane; w niektórych są biblie, przepisane na liściach palmowych, które, jako wielkie i dosyć grube, łatwo na ten użytek przysposobione być mogły. Arabowie wyrzynali opisy znaczniejszych zdarzeń na kościach z łopatek baranich, wiązali je razem i zawieszali w swych domach. Widzimy więc, jak wszystkie te sposoby były uciążliwe i niewielu piszących być musiało.

Przy roboci nigdy nie trzeba być trzpiotem,
Zastanów się pierwej i dobrze zrób potem.

